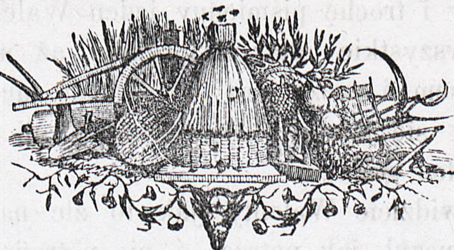
Tom XIV. Nr. 3.

21. stycznia 1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Marcin Kromer,

biskup pobożny i uczony Polak.

W naszej polskiej Galicyi między Jasłem a Gorlicami leży nad rzeką Ropą miasto Biecz — a jest to miasto staropolskie, dawno za czasów polskich nazywali je nasi dziadkowie małym Krakowem, bo tu był wielki polski urzędnik, ni to starosta, co się zwał po dawnemu kasztelanem, i miał pod sobą Duklę, Żmigród, Dembowiec, Jasło, Gorlice, Kołaczyce i inne wsie i miasta polskie, był tu także dawno zamek królewski i ratusz gdzie sądzili i karali złych ludzi. A dziś został jeno z dawnych czasów farny kościół, wieża, klasztor i znaki murów, któremi było miasto obmurowane. A kościół farny to już taki wielki, żeby tam wlazło dorazu trzy kościoły, a ma ci na tyle ołtarzy, żeby tam i na największym odpuście mogli dorazu wszyscy xięża odpustowi odprawić mszę św. A zaś na jednej ścianie fary wymalowany jest obraz z jakimś xiędzem, ni to biskupem i stoi tam taki podpis:

„Roku pańskiego 1579 fundował syn Marcin Kromer tę pamiątkę dziadkowi Bartłomiejowi, ojcu Grzegorzowi i matce

Agnieszce.“ Otóż na jednym odpuście byli tam w tym farnym kościele gazdowie polscy z różnych wsi, a między nimi był bardzo ciekawy i trochę piśmienny jeden Walek Burda — ten też obzierał wszystkie ołtarze, organy, aż natrafił i na ten obraz z podpisem i zaczął go czytać, ale mu jakoś szło nie dobrze i zaczął się jąkać i coś bałamucić ni to ni owo, toż mu zagadał jeden gazda:

— Otóż widzicie Walenty, jak to źle na świecie, jeżeli kto się nie douczył jak potrza, i nie potrafi każdego druku przeczytać i drugim opowiedzieć.

A Burda zapyrzony gada:

— Toć ja przecie znam dużo na książkach, ale wy nie znacie ani dudu, choć w waszej wsi szkoła od tylu lat. Ale poczekajcie, ja sobie zaraz poradzę.

I poszedł do zakrystyi, ukląkł przed ołtarzem z Najświętszym Sakramentem, tam pogadał coś z starym kościelnym i przyprowadził go do tego obrazu i gada:

— No! panie kościelny, czytajcież wy ten podpis i opowiedzcie nam na wyrozumienie, kto tu stoi wymalowany?

A kościelny starowina założył sobie okulary, podniósł głowę do góry i przeczytał od początku do końca bez omyłki, co tam stało napisane i mówi:

— To ten obraz jest dawną pamiątką naszego krajana Marcina Kromera, który pochodzi z naszego miasta, co został xiędzem, potem biskupem i żył z królami polskimi, cesarzami ba! nawet z Ojcem świętym tak, jak to my jeden z drugim nieprzymierzając.

A Burda kiwając głową pyta się:

— Jak to? toby syn mieszczański wyszedł aż na takiego pana wielkiego?

Kościelny mu powiada:

— A wy jak myślicie? toż to mój bratku kochany dawno nie tak bywało w polskim kraju, jak dziś, bo co to? jak byłeś biedakiem, a chciałeś się uczyć, to się tam znalazła albo w pierwszym lepszym dworze, albo na plebanii zawsze jakaś dusza pobożna, co ci dała sposób do szkoły i tyś sobie ni z tego ni z owego wyszedł za jakiś czas na xiędza, biskupa

albo i pana, a jakeś był dobrym polakiem, to ci panowie i xięża pomogli i zostałeś szlachcicem, a to takim panem, że miałeś wszystkiego po uszy na chwałę bożą i dla siebie i dla drugiego. Takie szczęście dał Bóg miłosierny i temu Marcinowi. On miał tu w Bieczu ojca Grzegorza i matkę Agnieszkę, a byli to ludzie pobożni, prości mieszczanie, rzemieślnicy, co żyli z grajcara, ale całe miasto nawiedziło ich bardzo dla ich dobroci i uczynności. Dał ci im też Bóg kilkoro dziatek i to się wszystko chowało w posłuchu i wielkiej pobożności przy nich i żyło z wolą bożą i radziło sobie jakoś.

Ale Burda poderwał i gada:

— No! to jakże oni mogli tak wyuczyć tego Marcina Kromera, że on aż na biskupa wyszedł?

— O! jak mogli, mówi kościelny, jużci ten wiele może, komu Pan Bóg dopomoże, wszak to pod opieką Boga wszystko się robi na świecie i cuda i małe rzeczy, toż i człek tak samo, jak się garnie i garnie, to nie idzie marnie, jak się pcha i pcha, to się i przepcha, jak się uczy i uczy, to się wyuczy. Toż i ten Marcin chodził nasamprzód do szkoły w tem mieście, no! a to przecie nie kosztuje wiele jak masz szkołę pod nosem i posyłasz tam dzieci — a choć było i dalej do szkoły no! to od czegoż jesteś ojcem? toć nie od parady, to trza dziecko posyłać i daleko, jeżli chcesz, aby co dobrego z niego było.

A Burda mówi:

— To prawda święta, ale pono nie można było z takiej małej szkoły zostać xiędzem?

— A to co innego, gada kościelny, jak skończysz swoją szkołę w domu i masz Boga w sercu i dobrą wolę, to ci wolno iść dalej do innej szkoły, a i tam nie zginiesz, bo i tam są ludzie i zginąć ci nie dadzą, chyba że się sam zagubisz, jak zostaniesz zbijaczem i lampusem ostatnim. Toż widzicie i ten Marcin był walnym chłopakiem, nie miał ochoty być krawcem albo kowalem w mieście, jeno mu pachło coś lepszego na świecie, otóż razu jednego wyspowiadał się i pomodlił pokornie i stanął przed ojcem i powiada z płaczem:

— Mój ojcze! ja tu nie mam co robić w domu na kupie, a znowu nie chcę być lampusem jakim i nie chcę biedować do śmierci, oto świat wielki i są na nim ludzie dobrzy i źli, toż ja wybieram się aż do Krakowa, tam może znajdę sposób do życia, ale szkoły nie opuszczę, choćby mi przyszło i biedować.

— No! cóż ojciec na to powiedział? pytali gazdowie.

— A coby miał gadać, mówił kościelny, toć jeźli dziecko ma ochotę do dobrego, to go pogłaskaj, pomóż mu a jak nie stać cię na nic, to mu choć poradź, zaprowadź go między dobrych ludzi, proś za niem a Bóg dopomoże do reszty. Tak zrobił i ojciec z tym Marcinem. Odprowadził go do Krakowa, matka poszyła mu koszule, dała do kieszeni jakie takie grajcary i tam w Krakowie został nasz Marcin na zmiłowaniu bożem.

— I któż się tam opiekował nim? pyta Burda.

A kościelny powiada tak:

— Kto szuka dobrego, ten go znajdzie, a kto chce złego, ten go podybie na każdem miejscu. Toż Marcin biedował z początku, ale na egzaminie raz był sam biskup krakowski Chojeński i słyszał jego odpowiadanie mądre i powiada mu:

— A czyj ty jesteś moje dziecko?

A Marcin smutny gada:

— Ja jestem z Biecza, syn rzemieślnika.

— A kto na ciebie łoży? pyta biskup.

— Bóg się mną opiekuje, i ja sam zarabiam jak mogę ale bieduję i uczę się.

To mądre gadanie spodobało się strasznie biskupowi i kazał mu po egzaminie przyjść do siebie.

— To mu może co dał? pytali gazdowie.

— Oj dał, dał, mówi kościelny, odtąd już nie biedował Marcin, bo jadał na stole biskupim, mieszkał w pałacu a okrycie miał jak jakie pańskie dziecko. Ale on nie popsuł się ani na takiem jedzeniu, ani przy pańskiem odzieniu, ani przy pieniążkach, które mu biskup miłosierny dawał, jeno bojąc się Boga uczył się we dnie i w nocy i tak się uczył, że potrafił biskupowi pomagać w pisaniu, czytaniu i odsyłaniu różnych

rozkazów na parafie różne. A tak miłował swego opiekuna biskupa, jak syn ojca, toż jak raz temu biskupowi umarł ojciec i biskup strasznie żałował i płakał za nim, to ten Marcin wypisał biskupowi na pięknym papierze takie śliczne słowa, co się składały jedno do drugiego jak gałązki na szczepku, że biskup aż się rozradował z tego i pomiarkował sobie w swej głowie, żeby Marcina posłać do innych szkół.

A Burda dumając poderwał:

— Jak to? to go jeszcze ten biskup posłał do innej szkoły, jak była w Krakowie i łożył na to?

— A wy co gadacie, mówi kościelny, toć jak masz komu co zrobić, to mu zrób całe od początku do końca, jak masz komu dopomódz, to go nie zostawiaj na połowie, jeno zrób mu do końca, a jak kogo prowadzisz, to go nie odleć na środku drogi, ale zaprowadź na sam koniec i jeszcze mu poradź dobrze. Toż biskup taki wiedział to dobrze i posłał Marcina do krajów Ojca świętego, aby się tam wyuczył na dobrego polaka i xiędza, aby mógł być i biskupen, jak wypadnie. I uczył się dobrze na biskupim chlebie — ale nie zgadniesz Marcisiu, co nad głową wisi! toż umarł ten biskup krakowski, co się opiekował Marcinem przez tyle lat, i Marcin płakał i płakał i modlił się za duszę jego do Boga i miał już wracać do domu, aż tu znowu drugi biskup obrany w Krakowie, niejaki biskup Gamrat, wyświęcił Marcina na xiędza, zaprowadził go do króla Zygmunta I., pochwalił go przed królem mądrym i dobrym, a król jak pomiarkował, że xiądz Marcin miał dużo nauki, to go posłał z Krakowa aż do miasta Wilna, gdzie siedział syn młody króla i tam też xiądz Marcin pozostał, królewicowi Zygmuntowi Augustowi dobrze doradzał, był mu pomocny do wszystkiego i był bardzo od tego królewica polskiego lubiony. A jak po śmierci ojca został ten królewic polski królem, to już nie puścił od siebie xiędza Marcina, jeno go posyłał po całym świecie do Ojca świętego do różnych cesarzów — aby zaś dumne pany nie patrzali krzywo na niego za to, że był z Biecza synem mieszczańskim, to go król Zygmunt August zrobił szlachcicem, a rodzinę jego w Bieczu uwolnił od czynszów i posługi, jakie płacili i odrabiali inni ludzie.

Na to mówili gazdowie tak:

— No' toż to łaska boża dla tych ludzi, że ich krewniak został takim panem bogatym, bo to i król podarował im tyle, ale też i sam xiądz Marcin musiał im dawać na tyle....

A kościelny prawi dalej:

— A coby nie dawał, toć był tu w Bieczu jego rodny brat piwowarem, i miał tu dom murowany po ojcach, który do dziś jeszcze stoi blisko fary, a gdzie się xiądz Marcin urodził roku 1512 za króla polskiego Zygmunta I. potem byli tu inni bracia i siostry dwie, żyła i matka staruszka, to to wszystko utrzymywał ten miłosierny xiądz Marcin i przysełał dukaty to z Wilna, to z Krakowa, ale cóż? kiedy brat piwowar był nie ze wszystkiem dobry i dużo marnował. Toż sobie uważajcie dobrze, jak to w rodzinie nie wszystkie dzieci bywają jednakie, jedno do Boga, a drugie do głupiego świata, a kto ma rozum i boi się Boga, to się nie zepsuje i na marcypanach, a kto głuptakiem, ten i przy biedzie za złymi idzie.

A Burda ciekawy pyta znowu:

— I cóż się dalej stało z nim?

— Ja wam tu zaraz opowiem, mówi kościelny, jeno tabaki zażyję i was poczęstuję. I zażył tabaki z rożka, poczęstował gazdów, którzy rozkichali się na piękne, a potem otarł się chustką, poprawił okulary i gadał: Otóż widzicie, posłał król Zygmunt August xiędza Marcina raz do Ojca świętego a ten go tak polubił, że mu chciał dać jaki podarunek na pamiątkę, ale xiądz Marcin co miał od króla wszystko, nie był łakomy na to, jeno się skłonił Ojcu świętemu i powiedział pokornie:

— Mam tu i w moim polskim kraju na tyle wszystkiego, że mi nic nie potrzeba, jeno królestwa niebieskiego. I nie wziął tego podarunku.

A Burda powiada:

— A ja bym był wziął i zrobił co dobrego.

Na to kościelny tak:

— Toż jak wrócił do Krakowa od Ojca świętego, to znowu zabrał się do czytania różnych książek starych i napisał

taką mądrą książkę po łacinie, że go po całym świecie wychwalano pod niebiosa.

— A cóż to za książka taka? pytał Burda.

— W tej książce, gada kościelny, byli królowie polscy opisani, co oni robili dobrego, jak żyli — potem napisał katechizm dla Polaków, za co go znowu strasznie polubił biskup Hozyusz, co to był biskupem het na północy aż za Warszawą w kraju polskim Warmią przezwanym, a co zabrali potem Prusaki luteraki; potem był przez ośm lat na dworze cesarza Karola V. i Ferdynanda I. w Wiedniu, a jak biskup Hozyusz umarł roku 1579, to król zrobił xiędza Marcina biskupem Warmińskim i otóż dla tego on na tym obrazie stoi wymalowany w biskupim stroju i wtedy postawił on w tej farze ten pomnik dziadkowi, ojcu i matce. A znowu w rok jeden zjechali się panowie, biskupi z królem na sejm i tam wszyscy wypisali taki list do biskupa Marcina, w którym mu podziękowali za jego książkę o królach polskich, która książka zowie się Kroniką Marcina Kromera.

A gazdowie spytali się na końcu:

— A kiedy on umarł i co się stało z jego dukatami?

— Ho! ho! gada kościelny, on tam grajcara nie zmarnował, bo zrobił fundusz w Krakowie dla biednych szkolarzy z Biecza, potem kazał cały Biecz obmurować do około jak to dziś znaki z tych murów, potem dla dziewcząt fundował szkołę w Krakowie, potem łożył na kościoły w Bieczu, Krakowie, Kielcach, a dla krewnych dał resztę. Przeżył 77 lat, umarł 1589 i leży pochowany tam, gdzie był biskupem.

Potem rozeszli się gazdowie i opowiadali to wszędzie.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Rozmowa dziadka z młodzieńcem.

Młodzieniec.

Dziadku, gdzie tu dostać chleba?

Dziadek.

O, po chleb rano wstać trzeba,

Bo droga przykra i długa:
Najlepiej ująć się pługa;
Za pługiem będzie chleb znojny,
Ale zdrowy i spokojny.

Młodzieniec.

Gdzież tu są, dziadku, zabawy?

Dziadek.

Sześć dni drogi do nich będzie,
Sześć dni obchodź twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie,
Zysk obrachuj, potem śmiele
Hasaj sobie przez niedzielę.

Młodzieniec.

A gdzież tutaj szczęście będzie?

Dziadek.

Nie tędy do niego droga;
Pytają się o nie wszędzie,
Ale nie znane nikomu.
Odszedłeś go w ojców domu,
A nie znajdziesz aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnych czynach szukaj wytchnienia,
Zresztą zapytaj sumienia,
Umie po polsku, toć powie.

K. Brodziński.

Nabożna pokuta.

Przed laty dwustu z okładem przyszedł na Kraków, okropny mór t. j. morowe powietrze, że ludzie byle gdzie, padali jak muchy. Niejeden od samego wielkiego strachu zaniemógł, i nie raz może tylko omdlał, a tu znów ludzie bojąc się, aby się choroba nie szerzyła, brali, pakowali na wóz, i dalejże z nim na cmentarz!

Grobarze nie mogli podołać, wszystko jeno chować a chować, taką moc ludu z każdej parafii, bo w Krakowie choć tylko jeden cmentarz, ale z każdej części miasta t. j. przy każdej parafii jest inny grobarz.

Otóż mówię, ci grobarze nie mogąc podołać pracy, przynajmowali sobie do pomocy ludzi. Jeden tylko grobarz z parafii Panny Maryi, przez całusieńki czas, jak ten straszny mór panował, nie przyjął sobie ani żywej duszy do pomocy, tylko tak się sam zwija, a zwija i grzebie bez ustanku.

A nazbierał widać z tej roboty w pańskiej oborze nie mało, bo dobytku jakby z ziemi przybywa u niego. Brzęka czerwonemi, że aż ludziom dziwnem się to zdało, że on zaś grobarz i do takiego wielkiego majątku przychodzi? I poczęli sobie różni różnie o tem przebąkiwać, i jakoś odtąd mieli go już na oku.

No, jak tak poczęli ludzie szperać i dochodzić, tak i doszli, że on niecnota jakiś, wiecie co robił? oto często gęsto jak mu się zdarzyło, że jeszcze kto mało wiele dychał, to go bez ceremonii i dodusił albo żywcem zagrzebał, a odzież obdarł.

Jak się taka sprawka na jaw wydała, i do zwierzchności doniosła, toć i pana brata złapali i bez pardonu powiesili, czego już ci był wart za taką okrutną zbrodnię.

A miał on żonę, która dobrą i pobożną była kobietą, i nic a nic o takich sprawkach swojego męża nie wiedziała. Musiała się więc jej dusza wielce rozżalić, jak się o tem dowiedziała, i przez to swego męża straciła. Nie wiedziała biedaczka, co począć od wielkiego żalu, boć to musi być żal wielki i straszna ciężkość na sercu, jeżeli się pokaże, że ten co jest najbliższy człowiekowi, naprzykład żona albo mąż, jest złym, jest zbójem.

I zeszło jej w tej żałości dni kilkanaście, modli się gorąco do Pana Jezusa, to za duszę męża, to o pociechę dla siebie. I wysłuchał widać Pan Jezus jej modlitwy, bo jednej nocy, kiedy w głębokim śnie usnęła, śni się jej, ale to jakby żywcem na jawie, że nieboszczyk jej mąż, straszliwie biedny, i znędzniały, a czarny jak głownia, przychodzi do niej i stanie przed nią i pocznie płakać rzewnemi łzami, i tak się do niej odzywa:

— O moja żono kochana, przewiniłem strasznie przeciw Panu Jezusowi, i przeciw bliźnim moim, żem takim nielitościwym i okrutnym był człowiekiem i zbójem, to też dla tego,

choć tam już na świecie odebrałem prawda karę zasłużoną, alem się jeszcze tą tam karą nie usprawiedliwił ze wszystkiego Panu Jezusowi, a jakem ja tam był bez litości, takem i tu jeno surową sprawiedliwość a nie litość otrzymał, bo jaką miarką mierzyłem tam na ziemi, taką mi tu odmierzą. O to też moja żono kochana, okropne, przeokropne męki cierpię tu, nawet ci ich opowiedzieć nie potrafię; a te straszne męki póty trwać będą, póki ich moja rodzina z pokolenia het w pokolenie nie odpokutuje, pokuta zaś ta ma się tem odbywać: aby począwszy od ciebie, zawsze jedna niewiasta z rodziny mojej, co dzień dwie godziny, zimę i lato, przeklęczała i przemodliła się za moją duszę, na progu pod wielkiemi drzwiami przy kościele Panny Maryi w Krakowie, nie uważając czy brzydko czy pięknie, i choćby niewiedzieć jaka burza była, i żeby niewiedzieć co się stało, aby tego nabożeństwa nie zaniechała, a dopiero jak już ostatnia niewiasta, co pójdzie z mego rodu, nie wiem za wiele tam lat, tę pokutę dopełni i umrze, a po sobie już żadnej córki nie pozostawi, na tedy dopiero moja pokuta się skończy, a ja czysty i szczęśliwy pójdę do Pana Jezusa. Dla tego moja ty najdroższa żono, zmiłuj się nademną i przyrzeknij mi, że do razu od jutra poczniesz tę za mną grzesznym pokutę, a jak będziesz miała schodzić z tego świata to niech ci znów twoja najstarsza córka przysięgnie, że dopełni święcie tej pokuty, i tak jedna drugiej, niechaj przykazuje to postanowienie, a takim jeno sposobem wydobędziecie z tej strasznej kaźni moją biedną grzeszną duszę!

Powiedziawszy jej we śnie nieboszczyk rzecz taką, znikł a ona kobieta obudziła się. O strach ją wziął niezmierny! Jezus Marya! dreszcz przeszedł ją od stóp do głów, od przelęknienia i żalu; ale że była dobra i pobożna, więc wzięła sobie ten sen do serca i przyrzekła Panu Jezusowi i nieboszczykowi, że dopełni tego, o co ją we śnie prosił.

Jakoż od tego samego dnia, poczęła tę pokutę, to jest klęczenie i modlitwę przez dwie godziny przy drzwiach wielkich u Panny Maryi; potem znowu przekazała to swojej córce, ta także swojej i tak to szło i szło, mówię wam dwieście lat okładem.

Jakiegoś najstarszego człowieka zdybał w Krakowie, to ci mówił, że od dziecka pamięta jak co wieczór widywał modlącą się pod kościołem Panny Maryi kobietę; a jego ojciec powiedział mu, że i on jeszcze od dziecka to samo tę kobietę modlącą pamięta.

Dosyć że trwała ta ciężka pokuta tych pobożnych białogłów, jak się rzekło przeszło dwieście lat, gdyż ostatnią, która tej świętej pokuty dokonała, znałam sama, mówiłam z nią i za mojej bytności w Krakowie, to jest tego roku, jak się Kraków spalił umarła i dopiero przed samą jej śmiercią, dowiedzieliśmy się o tej całej rzeczy, bo pierwej to nikt nie wiedział i nikomu i przez myśl nie przeszło, za co i po co te kobiety tak zimą i latem, klęczą wieczór dwie godziny, przed zamkniętemi wielkiemi drzwiami, kościoła Panny Maryi.

Już widać taka była wola Boża, aby się to dopiero przy tej ostatniej pokutnicy wydało na świat, i ta też nie mając dzieci, zakończyła pokutę i wybawiła duszę grzesznika od wiecznej zagłady!...

No cóż, prawda moi kochani, że to nie byle co, tak pięknie dotrzymać słowa nieboszczykowi, kiedy tu żywemu, a nie dotrzyma się często gęsto przyrzeczenia! A one do tego same kobiety, wytrwały w tej świętej wierze i pobożności, i tyle ich tam było w tem pokoleniu, a żadna nie złamała słowa i nie wydała się z tajemnicą.

A wy sobie z tego przytrafunku pobożnego bierzcie ten morał i tę naukę, że dla niemiłosiernych i okrutnych ludzi straszna jest kara zgotowana na tamtym świecie, jak znowu miłosiernych wielka łaska i miłosierdzie Boskie ogarnie, bo jaką miarką mierzysz, taką ci i tam odmierzą.

Miłość więc nasza i miłosierdzie powinno być wielkie, nieograniczone i nieskończone, a wtedy będziemy pewni, że takiego samego, nieskończonego, wiecznego miłosierdzia, dostąpimy i my w niebie!

Ludka z Myślenic.

Ogrodnictwo wiejskie.

Przy Boskiej i ludzkiej pomocy, a przy własnej chęci, nauczyło się już was wielu czytać i rozumieć co czytacie, ale nie potraficie jeszcze dobrze pojąć, na co to czytanie i pisanie głównie potrzebne. Otóż to co umiecie ze szkoły, jest dopiero kluczem, roztwierajacym drzwi do nauki i wiedzy, tak wam koniecznie potrzebnej. Dziś chcemy was zachęcić do zrozumienia i pokochania nauki, która ze wszystkich stanowi waszemu odpowiednich umiejętności, jest pewnie najważniejszą; nauki, którą zrozumiawszy głową, pokochawszy sercem, poparłszy wiedzą i pracą, z pewnością szybko doszlibyście, nie tylko do gruntownego zamiłowania porządku i pracy, poprzestania na własnem choćby szczupłem mieniu; — nie tylko do bytu dobrego i zamożności, ale i do moralności, do zamiłowania tego zagona polskiej rodzinnej ziemi, na której wyście się zrodzili i wzrośli, na którym żyli i złożyli swe kości dziady i pradziady wasze.

Nie każdy z was będzie tak szczęśliwym, aby miał gospodarstwo swoje i ziemię, ale każdy czy to zagrodnik, czy kopiarz, czy parobek, zawsze przy chacie dostaje kawałek ziemi pod warzywo, każdy zatem bez wyjątku, gdyby chciał i znał się, mógłby z tego morgowego kawałka dobrze obrobionej i umiejętnie obsianej lub zasadzonej ziemi, mieć tyle warzywa i owocu, że i dla swej rodziny byłoby do syta, i dla biednego, i dla gościa, ba, i na sprzedaż jeszcze.

Ale do wszystkiego potrzeba nauki i zamiłowania pracy, bo nieuctwo, lenistwo i z przymusu robota, jak to mówią, i torby sieczki nie warte; dadzą w zysku nędzę, spodlenie, głód; doprowadzą do pijaństwa i złodziejstwa, nienawiści do ludzi, do zbrodni i do kar za zbrodnie.

Jeżeli chcecie dojść do łaski Bożej, miłości bratniej i wdzięczności od dzieci i następców naszych, weźcie się do nakuki i oświecajcie; pracujcie dla siebie, bliźnich i przyszłych potomków waszych.

Zważcie-no tylko. Jeżli każdy z was założyłby ogródek i posadził drzewka, za 10 lub 15 lat, miałby już swój owoc, a gdy w przyszłości dochowawszy się dzieci i oddawszy im gospodarkę, kiedy zasiadłby z niemi w dzień świąteczny pod cieniem starej jabłonki lub gruszy, patrząc na ich wesołość i posilając się owocem z drzewa własną wypielęgnowanego ręką, czyż nie uczułby w sercu radości i zadowolenia? A gdy wdzięczny syn obejmie kolana rodzica i powie: Ojcze! niech ci Bóg da niebo za pamiątkę, rozkosz i wygodę, jaką mi dałeś wypielęgnowaniem tych drzew ogródka, czyż to nie byłaby największa nagroda, bo nagroda wdzięczności; ale Bóg najwyższy jeszcze nie dozwolił nam dojść do zrozumienia tej prawdy. Polski chłopek jeno w kartofle wierzy, i cały kawałek ogrodowej ziemi ziemniakami sadzi, a przeto spożywając wciąż jednę i tę samą kartoflaną strawę, i nie przeplatając jej innemi, szkoduje na zdrowiu; a nawet w dzisiejszych czasach, gdy zaraza na kartofle tak często panuje, zwykle i głód cierpi. Nie jeden powie, że nieurodzaj to wola Boża, i to prawda, ale Bóg zawsze wcześniej czy później nagradza obfitym plonem poczciwą i rozumną pracę. Ale za to kartofel najmniej roboty ręcznej wymaga, więc też najwięcej go uprawiamy, a inne tak pożyteczne ogrodowe rośliny, które spożywali ojcowie nasi, nie znając jeszcze dzisiejszych kartofli, rzuciliśmy w zupełne zaniebanie. Czas dziś, byśmy wynagrodzili to złe, i naprawili cośmy opuścili. Wierzajcie, że nawet mały kawałek ziemi, pilnie doprawiony i rozumnie użyty, może wyżywić człowieka, ale nie dość jest, tak jak się to dziś robi, cały ogród swój zaorać i zasadzić ziemniakami lub zasiać jęczmieniem; trzeba uwierzyć i samym przekonać się, że są i użyteczniejsze rośliny, które uprawiane na kawałku ogrodowej ziemi, jak brukiew, marchew, rzepa, buraki, cebula, pietruszka, selery i tyle a tyle innych, które zdrowszy i urozmaicony dałyby pokarm, większy plon i dochód ze sprzedaży do miast i dworów. Pojęli to dobrze i zdawna zagraniczne narody, Francuzi i Anglicy, a wiedzcie, że oni nie rzadko tam płacą po sto reńskich rocznej dzierżawy z morga, u nas za te pieniądze kupiłby mórg ziemi; a oni pomimo to wychodzą na swoje, i za-

rabiają jeszcze, ale bo też oni mają rozum, naukę i pojęli całą ważność pracy; przekonali się, że uprawienie i pielęgnowanie ogrodów, w małych szczególniej, tak jak wasze gospodarstwa, daje największe zyski.

Powiecie, że tam u nich za granicą strasznie duża ludność, to oni mogą tak drobiazgowo uprawiać i tak wysoko płacić; otóż ja wam powiem, że choć tam tak duża ludność, to przecież najemnik tam dwa razy droższy niż u nas, ale wart tego, bo robi z przekonania, nie z musu i robi sumiennie. A rozważcie sami, ile to u nas marnuje się pracy, raz przez głupotę, to znów przez lenistwo? Popatrzmy-no tylko na małych, młodych i starych, co tam zobaczy? — Słuchajmy: Dzieci wiejskie, jeśli we wsi nie ma szkółki, czemże się trudnią, nim ich rodzice napędzą do pasionki gęsi, cieląt lub świń, oto baraszkują, biją się, robią z błota placki, przez co koszule walają, a niby to piekąc owe placki, wydłubują na piece dziury w fundamentach budynków i przez to psują takowe, zakradają się do cudzych ogrodów, robią szkody, ale i któżby wyliczył wszystkie ich figle! Czyż nie lepiej, gdyby te dzieci po nauce poszły do ogródka, a tam się zajęły pieleniem, szczepieniem, sadzeniem, przez co wyrosłszy, mieliby swój owoc, a nie pragnęli i nie kradli cudzego.

Gospodynie nasze zamiast plotek i kłótni, chodzenia do karczmy z mężami po obrazę Boską i stratę zdrowia, czyż nie lepiej zrobiłyby, zająwszy się miłą pracą w ogródku dla korzyści i przyjemności.

Albo owi żebracy, co to bezwstydnie wyciągają rękę, choć zdrowi jeszcze, ci zamiast psy po wsiach drażnić, mogliby wiele jeszcze dobrego uczynić, zająwszy się jaką lekką wiekowi ich właściwą robotą w ogródku lub pszczołami.

Tak ludkowie, zamiłowanie ogrodów i rolnictwa nieopisane przyniosłyby wam korzyści, spojrzyjcie no tylko na te wioski, gdzie przy błogosławieństwie Bożem, nauka i praca kwitną, czyż nie ujrzycie, jak to tam wszysko miło aż się dusza raduje. Chatka porządna, wybielona, otoczona zieloniuchnemi drzewami pełnemi kwiatu lub owocu, co aż ślinka płynie patrząc na nie, usypane ścieżki, wygrabione podwórze, wszę-

dzie czysto i zamożnie. Wejdziesz do chaty, pozdrowisz Boga i ludzi, jesteś gościem więc „Bóg w dom, gość w dom“ posadzą na ławie pod cieniem drzew w ogródku, dają owoców słodziutkich i miodu, chleba i tyle innych potraw z warzyw i płodów ogródka, o jakich ani ci się śniło, żeby postać mogły na stole wieśniaka. A jednak tak jest, takby wszędzie było, gdyby chciano zamiłować ogrody, a w nich pracę tak przyjemną a łatwą. Jakżeby to ludzie i kraj się wzbogacił i upiększył, gdyby wszyscy mieszkańcy wsi, czy to gospodarze na hubach, czy komornicy, kopiarze, zagrodnicy, a nawet parobcy, przywiązali się do miejscowego kawałka ziemi, zakładali sady, uprawiali w ogródkach warzywa, obsadzali chaty kwiatami ku ozdobie. Pewno wtenczas mieliby i przyjemność i pożywne potrawy przez rok cały, mieli i co sprzedać w mieście, i grajcar nie jeden zachować; a dziewczyny nasze ubrane w wieńce, niosłyby co najpiękniejsze kwiaty do ozdoby obrazów w kościele, lub ołtarzy na Boże Ciało, a i sobie główki stroiły.

Skoro więc pożytek jest widoczny, przyrzeknijcie mi tedy, wy co to czytać będziecie, że dołożycie całej pilności do nauki ogrodnictwa, że je zamiłujecie, że kiedy wyjdziecie pracować na własną rękę, na własnym kawałku lub czynszowym, będziecie zakładać ogródki i pielęgnować drzewa, warzywa i kwiaty.

A gdy to przyrzeczenie spełnicie, bo słowo Polaka świętem być powinno; wtedy ja wam za to ile zdolnym będę, wypiszę choć później sposoby zakładania ogrodów wiejskich i ich uprawy.

(Nowiny ze świata.) *A. Mazur.*

RÓŻNOŚCI.

Odkryta zbrodnia. Jak to zbrodnia zawsze na wierzch wyjdzie! W pewnej wsi koło Szczerca udusił pewien parobek na polu swą dawną kochankę i zawlókł ją w krzaki. Nikt nie widział tej zbrodni jeno jak zawsze Pan Bóg. Kilka dni minęło nim ludzie znaleźli ciało za-

mordowanej dziewczyny. Kto wie, czy byliby tak prędko doszli mordercy, gdyby urzędnik nie był znalazł koło zamordowanej mały biały guzik od kamizelki. I patrzcie po tym guziczku wykryto zaraz parobka, bo on miał właśnie takie same guziczki. Snać kiedy zamordowaną wlókł do krzaków, ten guziczek mu się oderwał. Parobek wzięty do więzienia przyznał się do zabójstwa.

Za moje pieniądze! Do pewnej gospody w mieście przyszedł jakiś człowiek i pyta:

— Czy mogę ja tu dostać co zjeść za moje pieniądze?

— A czemużby nie, co tylko chcecie.

— A to proszę mi dać obiad za moje pieniądze — rzecze ów człowiek.

Dano mu tedy obiad smakowity a on zjadł i popił i potem wyjmuje stary grajcar i kładzie na stół.

— Panie gospodarzu, oto zaplata! — mówi.

— Jakto — woła gospodarz — toć mnie się należy cały cwancygier za obiad.

— A co ja temu winien — odpowie na to ów frant — ja was wyraźnie prosiłem o obiad za moje pieniądze, a ja innych pieniędzy nie mam.

Gospodarz widząc, że go ów oszust podszedł sztuką, mówi:

— No niech i tak będzie, ale proszę was idźcie do tego gospodnika, co ma szynk tu naprzeciw, i spłatajcie mu takiego samego figla, bo mam na niego złość, że mi gości do siebie odmawia.

— Oho! toć ja właśnie u niego w ten sam sposób zjadłem śniadanie, a on mnie posłał tu do was, abym i wam taką sztuczkę wypłatał — rzekł na to dowcipny oszust i wyniósł się za drzwi.

Zacni włościanie. Z Litwy donoszą, że tam teraz dzielą grunta między dziedzicami a włościanami. Otóż do jednej wsi, której dziedzic był w dalekich krajach, przyjechali moskiewscy komisarze, aby grunta dzielić. Gdyby gromada była niesumienna, toby była z tego korzystała, że dziedzica nie ma i byłaby go może nawet pokrzywdziła — ale trafiło to na zacnych wieśniaków i kiedy komisarze zabierali się do rozdzielania gruntów, wystąpiła gromada cała i tak rzekła:

— Mierzcie panowie sprawiedliwie i wedle sumienia, bo pana nie ma i nikt za nim tu gadać nie może, a my jesteśmy w domu i mamy języki. Dla tego też my musimy pilnować, aby broń Boże nie stała się krzywda dziedzicowi!

I tak też zakierowali, że choć owi komisarze przydzielili jaki grunt, to go nie przyjęli, skoro tylko wiedzieli o tem, że im się nie przynależał. Bóg też im za tę sumienność wynagrodzi sowicie!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.